TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 21. Chicago, Ill., Czwartek, 26-go Maja, 1898. Rok XII.

Książe Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Gdyby Morozow poddał się, lub padł do nóg carowi i zaczął uniżenie błagać o litość, możeby zmiękło zatwardziałe serce Iwana Wasiliewicza. Ale postawa bojarzyna była zanadto dumną, głos za stanowczy i w samej jego prośbie czuć było nieugiętą wolę — tego nie mógł znieść Jan. Do wszystkich silnych charakterów żywił niepohamowaną nienawiść.

Oto dla czego niedawno potępił i Wiaziemskiego.

Oprycznicy w mgnieniu oka zrzucili z Morozowa zwierzchnie ubranie, i włożyli nań kaftan z bombelkami i dzwoneczkami.

Bojarzyn już się nie opierał. W milczeniu patrzał, jak oprycznicy z śmiechem poprawiali i obciągali na nim kaftan. Wnętrze serca pochłonęło jego myśli.

— A o czapce zapomnimy? — zawołał Griaznoj, kładąc pstry zawój Morozowowi na głowę.

Poczem odszedł w tył i pokłonił mu się do ziemi.

— Drużyno Andrejewiczu — rzekł — bijemy ci czołem i winszujemy nowego stanowiska! Rozweselaj nas, jak ongi ś. p. Nagtiew rozweselał.

Wtedy Morozow podniósł głowę do góry i rzucił wzrokiem do koła zebrania.

— Dobrze — rzekł głośno i pewnym głosem — przyjmuję nową carską łaskę. Nie przystało bojarzynowi Morozowowi sie-

dzieć koło Godunowa, ale carskiemu błaznowi przystoi zajmować miejsce przy carskim stole, na równi z Basmanowymi i Griaznymi! Odsuńcie się, bluźniercy! puśćcie błazna i słuchajcie, jak będzie pocieszał Iwana Wasiliewicza!

Morozow uczynił rozkazujący gest, a opricznicy mimowolnie się rozstąpili. Brzęczący dzwoneczkami bojarzyn podszedł do stołu i siadł na ławie, naprzeciwko Jana, z taką wspaniałą postawą, jak gdyby zamiast kaftana błazeńskiego miał na ramionach szaty królewskie.

— Jakżeż mam cię bawić, carze? — spytał, oparłszy łokcie o stół i patrząc w oczy Iwanowi Wasiliewiczowi — mądrym jesteś na wszelkie błazeństwa — niczem już ciebie zadziwić nie można! Na całej Rusi zabrakło zabaw, kpin i żarcików, boś wszystkie już wyzyskał od chwili włożenia na się carskiej korony. Bawiłeś się jeszcze będąc młodzieńcem, gdyś ludzi koniem po ulicach tratował! Bawiłeś się, gdy kazałeś psiarzom zarznąć na polowaniu księcia Szujskiego; bawiłeś się, gdy posłowie z Pskowa przyszli do ciebie błagać o skrócenie swawoli twego namiestnika a tyś im gorącą smołą kazał brody przypalać!

Opricznicy chcieli wskoczyć z ławy i rzucić się na Morozowa; car wstrzymał ich wzrokiem.

— Ale — dodał Morozow — wszystko to były żarty dziecinne, i wkrótce ci się sprzykrzyły. Więc począłeś dostojników po klasztorach zamykać i wkładać na nich habity, a córki ich i żony dla swej pociechy bezcześcić! I to ci się sprzykrzyło. Zacząłeś tedy najlepsze sługi swoje oddawać katu. Wtedy ci się zrobiło weselej, ale nie na długo. Nie możnaż ciągle urągać nad bojarami i narodem. Trzeba znieważyć przecie i kościół i wiarę Chrystusa! Więc nabrałeś wszelkiego śmiecia, wszelkich szynkarskich wycirusów, przyodziałeś ich w habity zakonników, sam się przebrałeś za zakonnika, i zaczęliście we dnie rżnąć, a w nocy psalmy śpiewać. Sam, obryzgany krwią, śpiewałeś, dzwoniłeś i nieledwie mszy nie odprawiłeś; to była uciecha ze wszystkich najweselsza, największa; niktby takiej okrom ciebie nie wymyślił!

— Ale cóż ci, carze, jeszcze powiedzieć? Jak cię rozweselić? A! ot co ci chyba powiem: w on czas, co z swoimi opricznikami w maskach tańczysz, do jutrzni dzwonisz i krwią się nasycasz, napadnie na ciebie z zachodu Zygmont, Niemcy i Czudź przyprą z północy, a z południa i z wschodu nadciągnie Han. Wpadnie horda na Moskwę i nie będzie wojewodów, żeby bronili domów bożych.

— Pójdą z płomieniem świątynie z relikwijami męczenników i śś. Pańskich; nastaną znowu czasy Batyja.

— I będziesz ty, car całej Rusi, do nóg padał Hanowi, i klęczący strzemię jego całował!

Morozow zamilkł.

Nikt jego mowie nie przerywał. Wszystkim sparł się oddech. Car słuchał, schylony, blady, z gorejącemi oczyma, z pianą na ustach.

Konwulsyjnie ściskał poręcz fotelu, i wydawało się, że nie chciał uronić ani jednego Morozowskiego słówka, by mu odpłacić potem za nie oddzielną katuszą.

Opricznicy byli bledzi; żaden się nie odważał spojrzeć na cara. Godunow spuścił oczy i wstrzymał dech, by nie zwracać na siebie uwagi.

Nagle Griaznoj schwycił nóż, podbiegł do Jana i zawołał:

— Carze, pozwól zamknąć mu gębę!

— Ani się waż! — odrzekł car tak cicho, że ledwie dosłyszeć było można, bo też ledwie oddychał z wzruszenia — pozwól jego bojarskiej miłości dokończyć.

Morozow dumnem okiem rzucił dokoła.

— Jeszcze chcesz żarcików, carze? bądź łaskaw słuchać, będę cię bawił?

— Pozostał ci z wiernych sług twoich jeszcze jeden starego bojarskiego rodu. Zwłóczyłeś z jego straceniem, czy dla tego, żeś się bał boskiego gniewu, czy, że nie wymyśliłeś jeszcze tortury godnej tego bojarzyna! Był od ciebie daleko, w opałach mógłbyś zapomnieć o nim, ale ty carze, nikogo nie zapomnisz! Posłałeś doń opętańca Wiaziemskiego, by mu spalił dom i uprowadził żonę. A gdy bojar żądał od ciebie sądu na Wiaziemskiego, kazałeś mu się bie-

z nim dla swojej pociechy; myślałeś, że książę zabije twego starego sługę. Lecz Bóg nie chciał tej śmierci, i wykazał prawość bojara.

— Cóż wtedy, carze, uczyniłeś? Wtedy — mówił dalej Morozow, i głos mu zadrgał; bombelki na ubraniu się zatrzęsły — wtedy ci się wydało, żeś mało jeszcze zbezcześcił sługę swego, i postanowiłeś znieważyć go strasznie, niesłusznie!

— Wtedy — zawołał Morozow, odepchnął stół i wstał z miejsca — wtedy carze ubrałeś bojarzyna Morozowa w kaftan błazeński i kazałeś mu, bojarowi, co uratował Tułę i Moskwę, by ciebie i twoich bluźnierców bawił i pocieszał!

Strasznym był stary wojewoda wśród milczących opryczników. Nikt nie widział jego błazeńskiej odzieży. Pod gęstemi brwiami ukryte oczy miotały błyskawice. Biała broda wspaniale opadała mu na piersi, niegdyś tyloma ranami pokryte, a dzisiaj upstrzone różnokolorowemi łaty. W groźnym wzroku było tyle godności, że w porównaniu z bojarzynem próchnem się wydał Iwan Wasiliewicz.

Morozow zaczął po chwili podniesionym głosem:

— Carze, nowy twój błazen stoi przed tobą Słuchajżeż jego ostatniego błazeństwa!

— Póki żyw jesteś, usta narodu rosyjskiego zakneblowane są strachem, ale minie twe zwierzęce panowanie, a na ziemi zostanie tylko pamięć twych zbrodni i okrucieństw, a imię twoje przejdzie od potomków do potomków na wieczne przekleństwo, aż do dnia strasznego sądu Bożego! I wtedy całe setki i tysiące zgładzonych przez ciebie, dręczonych i katowanych, całe szeregi mężów i żon, niemowląt i starców staną przed obliczem Boga i będą błagać o wyrok na swego kata! I onego strasznego dnia stanę i ja przed wiecznym Sędzią, stanę w tym samym błazeńskim kaftanie, i będę się dopominał o cześć, którą mi wydarłeś na ziemi! I nie będzie wtedy przy tobie tych bluźnierców by zamknęli usta płaczącym i żądającym sprawiedliwości. Sędzia ich usłyszy. I wtrącon będziesz w ogień wieczny zgotowany djabłu i aniołom jego!

Morozow przestał, i rzuciwszy pogardliwym wzrokiem na carskich oblubieńców, odwrócił się do nich plecami i powoli wyszedł.

Nikt go nie zatrzymywał. Dumnie przeszedł pomiędzy rzędami stołów; dopiero gdy zamilkł głos jego dzwonków, oprycznicy ocknęli się z odrętwienia. Maluta wstał z za stołu i spytał Iwana Wasiliewicza:

— Czy każesz, carze, zaraz z nim skończyć, czy do więzienia wpakować?

— Do więzienia — rzekł Jan z przerywanym tchem — mieć o nim pieczę, karmić go, nie torturować, żeby nie zdechł zawczasu! Ty mi głową odpowiadasz za niego.

Wieczorem car miał nadzwyczajną naradę z Malutą.

Kołaczew i dawno już wtrąceni do więzienia i torturowani, po części się przyznali do zarzucanej zdrady, po części zaś, zdrada ta, jak mniemał Jan, była im dowiedziona, bo ich chłopi i przyjaciele nie wytrzymali mąk tortury i przeciw nim zeznawali. Wielu innych wplątanych także było do tej sprawy. Złapani z rozkazu cara i okrutnie męczeni, jedni w Moskwie, drudzy w Słobodzie, wielu niewinnych w mękach powydawali, aż liczba torturowanych doszła do 500.

Iwan Wasiliewicz nie chcąc aby inne państwa złego były o nim zdania, poczekał, póki nie odjadą litewscy posłowie, co podówczas byli w Moskwie, a potem zaraz miał naznaczyć na jeden dzień ogólną karę śmierci, ażeby dłużej pozostała w pamięci buntowników, tracenie miało się odbyć w oczach całego narodu.

I Wiaziemskij i Basmanow powinni byli zginąć tego samego dnia. Młynarz, jako czarownik, osądzonym został na spalenie na stosie, a dla Jastrzębia, że się ośmielił wejść do carskiej sypialni, Jan szykował straszne męki, o jakich się jeszcze nikomu nie śniło; obserwowano opryszka, jak na uroczystość. Podobnyż los miał spotkać Morozowa.

Do późna w noc rozmawiał car z Malutą. Już po raz drugi zapiały kury, gdy się udał do swej kapliczki.

———

XXXV.
Kara śmierci.

Gdy odjechali litewscy posłowie, mieszkańcy Moskwy w przeddzień uroczystej kary śmierci z przerażeniem patrzeli na przygotowania do niej.

Na targowym placu w Kitajgorodzie stało mnóstwo szubienic, a między niemi kilka pomostów z płachtami. Trochę dalej wisiał, przymocowany do dwóch słupów, ogromny żelazny kocioł. Za pniami wznosił się pojedyńczy pal z wkręconemi u góry łańcuchami; do koła tego pala robotnicy układali wiory i gałęzie na stos. Tu i tam leżały rozmaite straszne narzędzia tortury; przy samym ich widoku krew się ścinała w żyłach.

Kupcy, co na plac przybyli, wnet się rozeszli w przerażeniu. I pusto się uczyniło nietylko na placu, ale i na sąsiednich ulicach. Ludzie pozamykali się w domach i nie śmieli nawet rozmawiać o owym okrutnym sądzie.

Wieść o strasznych przygotowaniach rozniosła się po całej Moskwie, i wszędy zapanowała martwa cisza. Sklepy pozamykano. Nikt się nie pokazywał na ulicy; pędzili tylko przez miasto kiedy niekiedy posłańcy z rozkazami od Abbata, bo tam stanął Jan w ulubionym zamku. W Kitajgorodzie nie usłyszałeś innego szumu prócz uderzeń ciesielskich toporów, którzy zawiadywali nad robotami.

A gdy nastała noc i to ucichło. Księżyc wypłynął z po za zębatych ścian Kitajgoroda, i rzucił gromniczny blask na bezludny plac, cały najeżony kołami i szubienicami.

W oknach ni jednego ogieńka. Okienice szczelnie zamknięte. Gdzieniegdzie jeno tliły się lampki przed zewnętrznemi obrazami cerkiewnemi. Nikt jednak nie spał tej nocy, wszyscy się modlili oczekując świtu.

W końcu nastał straszliwy poranek, i w niebie dało się słyszeć przeraźliwe krakanie wron i kawek, które czując obfity żer, zewsząd zlatywały się do Kitajgoroda, krążyły stadami nad placem, usypywały czarnemi rzędami krzyże kościelne, gzymsy i dachy domów, i same wreszcie szubienice.

Oddalony huk bębnów i tułumbasów, powoli zbliżający się ku placowi, przerwał ciszę. Pokazało się mnóstwo opryczników rzędami, po pięciu w każdym. Przodowali im dobosze; powinnością ich było rozganiać naród i oczyszczać drogę carowi. Niepotrzebnie trzęśli swemi grzechotkami i walili pałkami w okropne tułumbasy, kiedy ni żywej duszy nigdzie nie było.

Za opricznikami jechał sam car Iwan Wasiliewicz w uroczystym stroju, z kołczanem u siodła i z łukiem przewieszonym na ramionach. Koronę swego szyszaka miał ozdobioną "Deisusem" tj. wizerunkiem Zbawcy, a po boku Bogarodzicy, św. Jana, i innych śś. Jego czaprak połyskał od drogich kamieni, a u końskiej szyi wisiał psi łeb.

Obok cara jechał carewicz Jan, a za nimi bliżsi dworacy w rzędach po 3. Dalej ciągnęło przeszło trzystu osądzonych na śmierć. Zakuci w kajdany, torturami wycieńczeni, z ledwością powłóczyli nogami; opricznicy ich popędzali.

Pochód zamykał liczny oddział konnicy.

Gdy wjechali do Kitajgorodu, wojsko w jednej chwili zajęło swe miejsca u szubienic. Jan, nie schodząc z konia, obejrzał się dokoła, i z zdziwieniem zobaczył, że nie ma ani jednego widza.

— Zganiać naród! — zawołał do opryczników — niech się nikt nie boi! powiedzcie ludziom moskiewskim, że car karze swoich bojarów, a niewinnym obiecuje łaski.

Niedługo plac został przepełniony narodem, okienice się otworzyły, i z okien wyglądały blade trwożliwe twarze.

A stos, rozłożony pod kotłem, zapłonął, i kaci stanęli z gotowemi toporkami.

Jan kazał przyprowadzić do siebie z liczby osądzonych mniej winnych.

— Ludzie — rzekł do nich głośno i wyraźnie, aby wszyscy, co byli na placu, mogli go słyszeć — przez swą przyjaźń i stosunki z zdrajcami zasłużyliście jednakiej z nimi kary lecz ja, mający wielkie serce, nie chcę tracić dusz waszych, bo mi ich żal; litując się nad wami i daruję życie, żebyście przez pokutę oczyścili się z grzechów, i modlili za mnie niegodnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

OBRAZEK Z WIEZIENIA.

(WSPOMNIENIE FRANCUZKIEGO KAPELANA WOJSKOWEGO).

(Dokończenie.)

— Wszystko jednakże niestety wnet się zmieniło ku największemu naszemu nieszczęściu. Ile to nieszczęść i niedoli na świecie, które się od pijaństwa rozpoczyna i pijaństwem kończy! Tak też było ze mną.

— W naszej ubogiej, spokojnej wiosce, która dotychczas od podobnej plagi była wolną, założono karczmę, tak zwaną kawiarnią. Od tej chwili szczęście niejednej rodziny było zakłócone, niejedna żona miała powód do narzekania i płaczu; do tych ostatnich należała też moja matka. Ojciec mój zaczął w niedziele wieczorami odwiedzać tę knajpę, z początku z ciekawości, lub też dla tego, że wielu innych tam chodziło, później z nawyknienia. Następnie i w niektóre dni powszednie po pracy dziennej zaczął tam chodzić, później co wieczór, a nawet i za dnia. A wszakże ojciec taki był dobry, tak czule zawsze kochał matkę moją i mnie, ale przykład drugich i nawyknienie wielki wpływ wywierają.

— Ojciec mój nie dosyć się modlił i dla tego spotkała go kara, tak samo, jak i mnie teraz. Możecie sobie wyobrazić, że przy powiększonych wydatkach, a zmniejszonej pracy interes zaczął podupadać, a matka moja na seryo zaczęła się niepokoić. A jednak nie przeczuwała tego nieszczęścia, które ją spotkać miało! — Gdy razu pewnego ojciec wyszedł z kawiarni bardzo późno, a zapewnie też był nieco napiły, i wśród ciemnej nocy wracał do domu, przejechał go w ciasnej uliczce wóz pocztowy, a nieszczęśliwy ojciec na miejscu ducha wyzionął.

— Nie będę opisywał mojej boleści i rozpaczy matki; — do tego okropnego nieszczęścia przyłączyło się jeszcze drugie: interes majątkowy zastała matka zupełnie zrujnowany. Musieliśmy sprzedać dom nasz i ogród, zapłacić temi pieniędzmi wszystkie długi i nic nie zatrzymaliśmy do utrzymania życia naszego, jak dwie pary rąk zdrowych. Nie traciłem jednakże nadziei, pracowałem razem z drugimi jako wyrobnik; pozostawała mi jeszcze miłość matki i miłość Józi, a przy tem wszystkiem nie mogłem się czuć nieszczęśliwym.

— Ale i Józię ciężko Pan Bóg doświadczył. Matka jej umarła w kilka tygodni po śmierci mego ojca, a w rok potem ojciec jej drugą pojął żonę. Ta była daleko młodszą od niego a on rozmiłowany był w niej po same uszy. To było źródłem niedoli Józi, — uważano ją w domu jako obcą i bardzo często uważałem, że miała oczy zaczerwienione od płaczu. Natenczas postanowiłem natychmiast ją zaślubić, jakkolwiek miałem lat zaledwie dwadzieścia i oboje nic nie posiadaliśmy, jak tylko ręce do pracy i miłość w sercu.

— Powiecie mi może, że to było nieroztropnie, to także wielu rozsądnych ludzi wtenczas mi mówiło; wszakże nawet jeszcze nie odsłużyłem wojskowości. Nie chciałem jednakże na nic słuchać. Jeżeli człek miłuje i widzi, jak osoba, którą miłuje, cierpi, natenczas wszelkie perswazye na nic się nie zdadzą; człek czyni, co tylko w jego mocy, aby cierpienia ukochanej osoby skrócić. Jedynym środkiem, jaki mi ku temu pozostawał, było wybawienie Józi z domu rodzicielskiego, a zatem — z nią się ożenić.

— Miałem jednakże nadzieję, że przy losowaniu do wojska wyciągnę wysoki numer, a gdyby mi się nie udało, spodziewałem się, że będę umieszczony w korpusie, któryby przez dłuższy czas na jednem i temsamem pozostawał miejscu, dokądbym tedy matkę i żonę mógł zabrać, a one by pracą ręczną umiały sobie zarobić na utrzymanie. — Józia została moją żoną, a ja przyznać muszę, że tego kroku nigdy nie żałowałem, z wyjątkiem dziś, bo z mojej winy stanę się przyczyną największego mo-

że jej i matki mojej nieszczęścia.

— Co do mnie, — zawołała młoda małżonka, — to nigdy tego kroku nie pożałuję, bo bez ciebie, mój drogi Jerzy, byłabym może dawno zmarniała!

To mówiąc rzuciła się jemu wśród łez na szyję. Ja się odwróciłem, aby swoje łzy ukryć.

Po kilku chwilach milczenia mówił żołnierz dalej:

— Nadszedł dzień losowania, — nie miałem szczęścia i zaraz musiałem się zaciągnąć. Smutne to były dla nas chwile, ale przy pomocy Bożej wszystko się ułożyło. Ułożono mię w pułku artyleryi, który miał w Paryżu pozostać jeszcze trzy lub cztery lata. — Przy pomocy moich towarzyszy i przełożonych, którzy mi wielką okazywali przychylność, uzyskałem dla żony wiele zatrudnienia, sprowadziłem ją z matką do Paryża i przeżyłem tak szczęśliwie całe dwa lata, poświęcając cały mój czas, wolny od służby, matce i żonie.

— Józia była, jak już mówiłem, znakomitą szwaczką i niezadługo więcej miała zatrudnienia, jak mogła wydołać. Ja ze swej strony nie wydawałem bez potrzeby grosza, pracowałem także w chwilach wolnych w ogrodzie szkoły wojskowej, tak że w końcu każdego tygodnia więcej, jak żołd swój, do domu przynieść mogłem. W ten sposób zebraliśmy już po dwóch latach piękną sumkę, za którą byłbym już mógł mieć zastępcę. Ale ja postanowiłem zaczekać, ażby pułk został przeniesiony, bo wtenczas zastępca mniej by kosztował, a nadto byłby zaoszczędzony kapitał doszedł może do tej wysokości, iżbyśmy po powrocie do wsi, mogli się przyzwoicie zagospodarzyć, a może znowu nabyć dawniejszą posiadłość ojcowską, z którą z takim żalem musieliśmy się rozłączyć. — Takie to były nadzieje nasze na przyszłość; nie myśleliśmy o nieszczęściu, czyli o mej słabości, która mię zrujnowała!

— Gdy żona moja doznała błogosławieństwa Boskiego — już to temu około ośmiu mięsięcy, — wtenczas sądziliśmy, że nic już do naszego szczęścia niedostaje. Ślubowaliśmy Panu Bogu w gorących modlitwach, że tego małego aniołka, którym nas obdarzy, prawdziwie po chrześcijańsku wychowamy. A teraz? — — Ja nieszczęśliwy!

— Przed tygodniem mniej więcej zaprosiło mię kilka moich towarzyszy na ucztę. Zwykle wymawiałem się od takowych zaproszeń, ale na ten raz tak serdecznie mnie proszono, że nie mogłem odmownej dać odpowiedzi. Pobiegłem do Józi, aby ją o tem zawiadomić; pożegnała mię z czułością, ale prosiła, abym zachował rozsądek i jak najrychlej powrócił do domu. Poszedłem.

— Było nas ośmiu; to za wielu, za wielu jeżeli tylko w tym celu się zbierają, aby jeść i pić. Człowiek wzajemnie się gorączkuje, drażni się głupotą tego lub owego, a sam się przyczynia do pomnożenia głupoty wszystkich. Tak było i z nami i w ten sposób się zgubiłem. Przy jedzeniu byliśmy z razu weseli i swobodni; ale w miarę tego, jak się głowy napełniały, a butelki wypróżniały, wyradzała się wesołość w pijaństwo i swawolę. Sądziłem, że jeszcze jestem panem siebie, a ja już utraciłem rozum. Piłem bardzo wiele, jak mi potem powiedziano, a mnie się zdawało, że tylko było kilka szklaneczek.

— Wreszcie powstaliśmy, przypasaliśmy pałasze, a towarzysze moi wzięli mnie pod ręce mówiąc, że teraz pójdziemy do kawiarni, wypijemy jeszcze maleńką szklaneczkę i tak wieczór zakończymy.

— Na to słowo "kawiarnia" oprzytomniałem na chwilę, czułem jakoby zimny pot na czole, przypomniał mi się nieboszczyk ojciec, wspomniałem na przysięgę, którą ongi złożyłem, i zacząłem się opierać. Towarzysze nie chcieli mię puścić, a ja się nie chciałem dać namówić. W tem zauważył jeden z nich szyderczo: "Dajcie mu pokój; on się obawia, aby go żona nie wybiła!" Na te słowa zarumieniłem się i już się dłużej nie opierałem. Przebacz mi, Józiu, to tchórzostwo! Byłbym mógł był odpowiedzieć: nie tego się nie boję, aby mię żona nie wybiła, ale obawiam się, abym jej nie dał powodu do smutku i płaczu, obawiam się, abym nie znieważył pamięci ojca i złamał przysięgi! Ale w pijanym stanie dałem się powodować, bo zupełnie stra-

ciłem siłę woli i jak wszyscy pijani zwykle, nie byłem już panem siebie, ale oddany samowoli drugich.

— Poszedłem więc, czyli raczej zostałem bezwładny zaprowadzony do — kawiarni a tam na mnie czekała kara. Wypiłem jeszcze kilka kieliszków gorzałki, sam nie wiem, ile tego było, bo odtąd straciłem zupełnie przytomność i już nie wiem, co dalej się stało.

Biedna żona gorzko płakała, a on zaledwie zdołał mówić dalej:

— Przypominam sobie niejasno, jakoby ze snu, że rozpoczęliśmy kłótnię i bijatykę z cywilnymi, że były krzyki i wrzaski, że szkło tłuczono i stoły wywracano. Przebudziłem się dopiero po kilku godzinach: było to wśród nocy, o ja znajdowałem się we więzieniu bez broni, w mundurze zabłoconym i podartym, i powiedziano mi, że ja w pijanym stanie opierałem się dyżurnemu podoficerowi, gdy mi kazał pójść do domu, że mu się odgrażałem, a nawet go biłem.

— Ustawy wojskowe są surowe i tak też być powinno; kto się przeciwko przełożonemu opiera i na niego się rzuca, ten w obec prawa jest zbrodniarzem i karany bywa śmiercią. Jeżeli w czasie pokoju cesarz tę karę na drodze łaski zmniejszy, to przynajmniej spodziewać się mogę pięciu lat w okowach i przy kuli, boć zbrodnia moja widoczna.*)

— Przyszłość moja zniweczona, a szczęście kochanej mojej żony zwichnięte! a to wszystko dla godzinki słabości i zapomnienia, dla chwili pijanego szału! O pijaństwo, o gorzałko, — wołał nieszczęśliwy młodzieniec w największej bolaści, załamując ręce, — wynalazku samego piekła! Morderco ciała i duszy, źródło łez i krwi, gorsze od wojen i głodu! Przeklinam ciebie i szatana, który ciebie wymyślił, całą potęgą rozpaczy.

Padł znużony na ławę.

Nie zdołam to opowiedzieć, jak mię wzruszyło to opowiadanie, to przekleństwo rzucone na pijaństwo, w tych pustych, okropnych murach więzienia, dokąd ono tego nieszczęśliwego zaprowadziło i jeszcze tylu innych nieszczęśliwych zaprowadzi. Wszystkie prawie łzy, — a ile się to wylewa, — wytryskują z tego źródła, i zdawało mi się, że tę klątwę, którą Bóg i posłannicy Jego tak często na ten występek miotają, widzę na tych murach ognistemi wypisaną literami. Pijaństwo jest przyczyną, możnaby nawet powiedzieć, jedyną przyczyną, że domy karne dla cywilnych i żołnierzy tak są przepełnione.

Starałem się wszelkiemi sposobami pocieszyć młodego człowieka i jego żonę, i przyszłość ich w mniej ponurym przedstawić im świetle. Aż do tego dnia nieszczęsnego było jego zachowanie się przy wojsku nienaganne; przełożeni go lubili, a i stan żony jego nie mógł na nich być bez wrażenia; jakkolwiek więc prawu musiało się stać zadosyć, to jednakowoż wielka była nadzieja łaski. Napominałem go, aby pamiętał na Pana Boga, który dzieci swe karze, aby je naprawić; aby żarliwie się modlił i polecał się opiece dobrego pasterza, który skruszoaego grzesznika nigdy nie opuszcza.

Gdy go cokolwiek zdołałem uspokoić, pozostawiłem go samego z żoną. Podał mi rękę i rzucił mi się na szyję; musiałem mu przyrzec, że go znowu niezadługo odwiedzę i że matce i żonie nie będę szczędził pociechy.

Odszedłem; — gdy przechodziłem około dyżurnego, który zawsze być musiał przy wnijściu do sali na posterunku, ujął mię tenże za rękę.

— Zacny człowiek z ciebie, księże, — rzekł, — byłem świadkiem tej rzewnej sceny i nieraz musiałem się odwracać, tak byłem wzruszony, chociaż podobnych scen jestem zwyczajny. Ale wyjaśnij mi, księże, skąd to pochodzi, że pomimo tylu odstraszających przykładów, na które my codziennie patrzymy, tylu jednakże ludzi oddaje się pijaństwu?

— Prawda, to niestety mój przyjacielu, — odpowiedziałem; — ludzie pili, piją i pić będą aż do końca świata. Pijaństwo, że tak powiem, kontrakt zawarło z ludźmi, który trwać ma na zawsze. A przyczyną tego wszystkiego, że człowiek nie da się pouczyć doświadczeniem drugich, ale tylko we własnej szkole nieszczęść się uczy. Złe widzimy dopiero wtenczas, gdy już zapuś-

*) Zbrodniarza przykuwają żelaznym łańcuchem do żelaznej kuli, którą musi za sobą dźwigać, aby nie n[illegible]

ciło korzenie i prawie nie da się już zmienić! Nadto człowiek jest za słaby i nie opiera się własnym złym skłonnościom, ani też pokusie zewnętrznej. A wszystko to razem z tego pochodzi, że człowiek odwraca się od Boga, że się nie dosyć modli. Kto się nie modli, kto się nie modli często i z pokorą, ten nie ma potrzebnej siły do walki przeciwko samemu sobie i swoim skłonnościom, ani też do pokonania pokus zewnętrznych.

— Masz, księże, racyą, — odrzekł starzec, głaszcząc sobie brodę. Ja mu ponownie ścisnąłem rękę i rzekłem:

— Tylko u Boga jest pomoc, tylko od Niego samego pochodzi siła i mądrość tak każdego z osobna, jak całych narodów.

Nazajutrz zaraz odwiedziłem matkę Jerzego; ponowiły się łzy i bolesne opowiadania. Józia była spokojniejszą a w sercu jej odżyła nadzieja. Dziwne jakieś przeczucie, tak opowiadała, mówiło jej, że dziecko jej nie będzie długo od ojca odłączone. Modliłem się razem z nią do Boga, aby nadzieja jej się ziściła.

Tak upłynęło kilka tygodni; według danego przyrzeczenia odwiedzałem w każdy czwartek i każdą niedzielę swoich więźniów. Od czasu pierwszych moich odwiedzin bardzo się przywiązali do siebie i nawzajem się pocieszali w smutku. Węzeł przyjaźni, zawiązany wśród łez i pokuty, jest słodki i silny.

Zbliżył się dla Jerzego dzień stanowczy. Oznajmił mi on go już dość wcześnie, ale zarazem też prosił mię, abym nic o tem nie wspominał przed żoną. Obawiał się, aby żona gwałtem się nie uparła i na sąd nie przybyła.

Nieszczęśliwy młodzieniec stał przed sądem. Wszystkich oczy z współczuciem ku niemu były zwrócone; przyznał się do winy, do pijaństwa z taką prostotą, skruchą i boleścią, że nawet sędziowie byli wzruszeni. I ja byłem obecnym. Wina była jasna, prawa wojenne surowe, to też nie było wątpliwości, jaki zapadnie wyrok. Jerzy został na śmierć skazany. Przewodniczący jednak zaraz oświadczył skazanemu, że poda go do łaski cesarza i przemawiać będzie za najmożliwszem złagodzeniem wyroku.

Jerzy wysłuchał wyroku z rezygnacyą, podziękował sędziom za współczucie i został odprowadzony do więzienia skazanych, gdzie go już bez wszelkiego pośrednictwa mogłem odwiedzać. Był spokojnym i miał nadzieję w miłosierdziu Boskiem i łasce cesarza. Przyrzekłem mu, że i ja wszystko uczynię, co będzie w mej mocy, i radziłem mu, aby tylko nie zaniedbywał modlitwy! Poszedłem też zaraz do przewodniczącego sądu, opowiedziałem mu także z wielkiem wzruszeniem historyą nieszczęśliwego młodzieńca, jak ją tu skreśliłem. Był on mocno rozrzewniony i przyrzekł mi, że wszystko uczyni, co tylko zdoła, aby biedakowi jak najłagodniejszy wyjednać wyrok cesarza.

Bóg nie opuszcza nigdy tych, którzy w miłosierdziu Jego pokładają nadzieję, powiedziałem nieszczęśliwemu na pociechę. To się też sprawdziło. — W kilka dni otrzymałem od pułkownika list, w którym mi tenże doniósł o szczęśliwym skutku swych starań, cesarz zupełnie ułaskawił Jerzego i uwolnił od wszelkiej kary. Przewodniczący dodał, że mnie pozostawił tę radosną missyą, abym swojemu przyjacielowi tę szczęśliwą zaniósł nowinę.

Natychmiast chciałem pobiedz do więzienia, ale wnet się inaczej namyśliłem, bo pomyślałem, że biedne kobiety prędzej potrzebują pociechy, jak więzień. Bez tchu pobiegłem na czwarte piętro do mieszkania matki Jerzego. Zapukałem; matka otworzyła, położyła palec na ustach i wskazując na drzwi od alkierza, szepnęła mi, abym mówił cicho, gdyż tam śpią Józefa i jej dziecko.

Starałem się nie zdradzić mojej radości.

— Tak, — mówiła matka dalej, — Pan Bóg obdarzył nas tej nocy pięknym chłopczykiem. Ach, gdyby tylko tu był biedny Jerzy, niczby już do naszego szczęścia nie brakło!

— Jeżeli go tu jeszcze niema, to niezadługo tu będzie, — odrzekłem i opowiedziałem uszczęśliwionej kobiecie, wszystko co się stało. Przez kilka chwil patrzała na mnie osłupiała, jak gdyby bezprzytomna, potem ręce wzniosła ku niebu, wybełkotała kilka słów niezrozumiałych, padła na kolana i zawołała, zapominając o śpiącej synowej:

— Mój Boże, pobłogosław temu, który mojemu synowi tę łaskę okazał!

Poczem strumień łez radości z ócz jej wytrysnął. Gdy się uspokoiła, poleciłem jej, aby chorej tej wiadomości radosnej z wielką ostrożnością udzieliła, bo nadmiar więcej nieraz jest szkodliwy, jak nadmiar smutku. Dla człowieka tu na tym świecie, na tem miejscu doświadczenia, odpowiedniejszą jest pokuta i łzy, aniżeli radość.

— Na ten raz, — rzekłem z uśmiechem do uszczęśliwionej matki, — sprowadził Pan Bóg na Józi to przysłowie, że szczęście we śnie przychodzi. Błogim jest jej sen, może śni o mężu; ale przebudzenie jej będzie jeszcze szczęśliwsze.

Wczoraj wychodziłem z tej izby smutny i sfrasowany, dziś opuszczałem ją szczęśliwy i wesoły. W kilku minutach byłem na sali gmachu więziennego.

Byłem tak wzburzony, że potrzebowałem pewnego czasu, aby się uspokoić. Po kilku chwilach wszedł Jerzy; na twarzy mojej musiał on wyczytać, że mu dobre przynoszę wieści.

— Co słychać? — zawołał. — Co robi Józia?

— Józia dzięki Bogu zdrowa, — odrzekłem, — i syn twój także.

— Mój syn? Więc już się narodził? Mój syn! Ach mój Boże! — i oczy jego zapełniły się łzami.

— To jeszcze nie wszystko, — rzekłem podtrzymując go, bo widocznie słabnął; — jesteś ułaskawiony, zupełnie ułaskawiony, uwolniony od wszelkiej kary, a ja odebrałem polecenie przynieść ci tę radosną wiadomość. Syn i wolność w jednej chwili! to prawdziwie dzień radosny w twojem życiu!

— — — Niepodobna opisać sceny, która teraz nastąpiła; nasamprzód głośny wydał krzyk, przez kilka chwil był jak obłąkany, płakał i śmiał się równocześnie, ujął mię w swoje ramiona, potem padł na kolana i w głośnej modlitwie dzięki składał Bogu. Wybiegł ze sali, ściskał starego dyżurnego i wołał:

— Jestem ułaskawiony, jestem wolny, — moja Józia ma syna, ja ich ujrzę, uściskam — — —

Wreszcie zdołałem go uspokoić.

— Widzisz, mój przyjacielu, — rzekłem, — powiedziałem ci już raz, że Pan Bóg nikogo nie opuszcza, który się modli i nadzieję w Nim pokłada.

— Tak, — odpowiedział mi, — to widzę i tego też nie zapomnę; nie zapomnę o tem, że pijaństwo zabiło mego ojca, że ono o mało było przyczyną mojej śmierci i żonę, i dziecko do nieszczęścia doprowadziło; przyrzekam na głowę mego dziecka, że się tego brzydkiego występku na wieki wyrzekam.

Zbyt nieudolne jest moje pióro, aby zdołało opisać powitanie syna i męża w rodzinie, coś podobnego można sobie tylko wyobrazić, można odczuć, ale nie można opisać.

W trzy dni potem były chrzciny chłopczyka; ja dokonałem obrządku Chrztu św., a Jerzy chciał, aby syn nosił moje imię, Piotra.

— Ty jesteś, księże, obstawał przy swojem, — któremu to dziecko głównie zawdzięcza wolność ojca.

Rozrzewniający był też dowód jego żalu, gdy przełożonego, którego był w pijanym stanie obraził i uderzył, przepraszał i prosił, aby był ojcem chrzestnym jego syna. Ten do tej prośby niechętnie się przychylił, mianowicie, że znając dobre usposobienie jego, pierwszy prosił o łaskę i serdecznie się cieszył, gdy Jerzy został uwolniony.

Po dokonanym obrzędzie w kościele, wziął szczęśliwy ojciec dziecko na ręce, wzniósł je ku niebu i rzekł:

— Boże, nie proszę Cię o bogactwo i dostojeństwa dla tego dziecka, bo wiem, że one tu szczęścia nie stanowią na ziemi. Nie proszę także o to, aby ono tu na ziemi niezamąconego doznawało szczęścia. Ale o to tylko proszę, aby z niego dobry był chrześcianin, przedewszystkiem zas, aby nie popadł w pijaństwo, które ojca mojego zabiło, a i na mnie i na żonę moją tyle trosk sprowadziło!

Z całego serca dodałem: "Amen," i wierzę, że modlitwa jego zostanie wysłuchaną, bo rzadko może gorętsza modlitwa z serca chrześciańskiego i ojcowskiego wznosiła się ku niebu.

Na tem kończę moje opowiadanie. Gdy-

by tak wszyscy, którzy je czytają, chcieli korzystać z tych przestróg i smutnych doświadczeń, jakie w niem leżą, a nie dopiero z własną szkodą się uczyli, że złe skłonności łatwiej stłumić w samym zarodku, jak wtenczas, gdy już się wyrodziły w namiętność!

Jerzy wystąpił z wojska, aby nie być narażonym na nowe pokusy; powrócił znowu do swojej wsi rodzinnej i postanowił sobie, że tam pozostanie do końca życia, wypełniając obowiązki swoje chrześciańskie, obowiązki miłości Boga i bliźnich

KONIEC.

Sercowe kłopoty Stacha.

(POWIASTKA)

Bardzo wątpimy, czy który z Czytelników znał Stacha, więc prosimy posłuchać.

Był to chłopak biedny, ale zgrabny i rosły jak dąb, a i minę miał dziarską i humor zawsze wesoły. Ojciec i matka odumarli mu, nie miał też i brata, ani siostry, był więc samotny i opuszczony na świecie zupełnie tak, jak Halka z młyna, która była znajdkiem i przyjętą została w domu i wychowaną przez matkę Stacha, a potem, gdy matkę Stacha pochowali, poszła w służbę do młyna.

Halka była śliczniuchną dziewuchą; cera jej twarzy to krew i mleko, otoczone czarnemi splotami włosów, z czarnych ócz jej tryskały płomienie, a buzię miała czerwoną jak wiśnię.

Ale Halka doznała starannego wychowania; była cnotliwą i pobożną, łagodną jak gołąbek, pracowitą jak mrówka, a państwu swemu tak wierną, że szukać było podobnej na świecie. Obok tego jednakże była też i Stachowi oddaną duszą i ciałem i kochała go jak brata, a—może i cokolwiek więcej.

Dopóki żyli rodzice Stacha, był on i Halka nierozłącznemi towarzyszami, tak przy pracy jak i zabawie, przy jedzeniu i przy pacierzu, w kościele i w domu.

Później wszystko się zmieniło—to jest, gdy Halka do młyna musiała pójść w służbę. Od tego czasu Halka mało już miała wolnego czasu i tylko w niedzielę przed kościołem mogli ze sobą pogawędzić, albo też kiedy po nieszporach poszli na cmentarz, aby się pomodlić na grobie Stacha rodziców.

— No, Helu, jak ci się powodzi? — zapytał zawsze Stach. a Halka odpowiadała:

— Musi być dobrze! Trza się zgadzać z wolą Bożą!

Ale że młynarz, pan jej, okrutnie był surowy, a nawet nieraz był i grubijaninem i rurą, że młynarzowa była obyta i skąpa, i tak sługi obdzielała, że biedna Halka zawsze prawie była głodna, o tem nigdy nie wspominała; bo nasamprzód nie chciała swojego państwa obmawiać, a potem też nie chciała Stachowi serca zakrwawiać, gdyby się dowiedział o niedoli swej biednej siostrzyczki, którą rodzice jego tak czule kochali.

Co się tyczy Stacha, to ten, choćby był chciał, skarzyć się nie mógł. Dziś był tu-jutro ówdzie w robocie, ale zawsze u gospodarzy, którzy dobrze płacili i nie skąpili strawy, a przytem ze służbą obchodzili się jak należy. A ponieważ był i pracowity i grzeczny, więc bogaci gospodarze, a nawet i panowie okoliczni prawie się darli o niego; a i gospodynie lubiły bardzo tego szykownego i wesołego parobczaka i zawsze mu najlepsze kąski podtykały, a Stach chwalił jadło, chwalił gospodynię i zajadał aż mu się uszy trzęsły.

No, głupi Stach nie był, to już prawda.

Stach odziedziczył po rodzicach małą chatkę, która stała za wsią, tuż pod borem. Tego dziedzictwa nie byłby Stach sprzedał za żadne tysiące — chociaż co prawda, dy-

belnie mało by za nie dostał — bo rolę, która do chaty należała, możnaby było dobrą płachtą przykryć, a ogródek przed domem, w którym kwitło kilka fiołków, rozmaryn, gwoździki i szałwia, nie wiele był większy od lichego obrusa. Ale Stach szanował tę chatę, bo w niej dziad jego się urodził, ojciec i on sam, w niej pomarli dziadowie i rodzice, w niej wreszcie wychowała się Halusia, więc mu chatka była droższą, jak pałac królewski.

Tęskno jednakże mu było, i to okrutnie tęskno, gdy naraz tak był osamotniony w swej chacie. To też gdy wracał z roboty do domu, zawsze tylko siadywał w kuchence, albo też na ławeczce przed domem, i zapaliwszy fajeczkę wspominał na matkę, jakto dawnemi czasy gospodarzyła dla ojca i dzieci, jak ich witała, gdy z ojcem powracali z boru z roboty, a wtenczas zawsze z kuchni tak mile dolatywały go zapachy, klusek z kapustą albo jagieł ze skwierami, albo też nawet kiełbasy — takie myśli. Stach zawsze przypieczętowywał głębokiem westchnieniem, wytrząsał fajkę i czemprędzej kładł się do łóżka, aby przespać swą tęsknotę i smutek.

Niejeden może zapyta: a czemu Stach nie pomyślał o ożenku?

Ha! Toć to on myślał nieraz, ale nigdy jakoś ze swemi myślami nie mógł trafić do ładu, gdy wszystko dokumentnie rozważył.

Nasamprzód do ożenku potrzeba pieniędzy, a tych on nie miał. Powtóre potrzeba do ożenku dziewczyny, któraby nietylko się podobała, ale którąby ten człowiek przez całe życie musiał szanować i kochać.

A w tem właśnie był sęk.

Toć — co prawda — podobały się jemu wszystkie, które były ładne; strasznej za nic w świecie nie byłby wybrał, chociażby ta po same uszy w twardych talarach siedziała. Największa trudność w tem była, że nie umiał powiedzieć, któraby się jemu najbardziej podobała z tych wszystkich dziewuch, które temu zgrabnemu chłopakowi z czarnym wąsikiem w bystre zaglądały oko, a nawet nieraz skrycie do niego się uśmiechnęły: czy Marynia, czy figlarna Zosia, czy jasnowłosa Hanusia, czy też czarna Kasia, albo Jagusia ze swemi grubemi rudemi warkoczami, które się w słońcu świeciły, jak szczere złoto, albo też wreszcie Basia, co wzrostem nie wiele się różniła od niego, a gdy przez wieś stąpała, to aż się wszystkie chałupy chwiały.

Gdy Stach tak medytował, to zawsze był w takiem położeniu, jak ów osieł pomiędzy dwoma snopkami siana, z tą tylko różnicą, że on cały mendel snopków widział naokoło siebie.

O jednej tylko dziewce nigdy Stach nie myślał, chociaż ta w jego oczach większą miała wartość, jak wszystkie dziewuchy z całej wsi razem, a tą była Halka. Gdyby kto był powiedział, aby sobie Halkę wybrał za żonę, toby się jemu w twarz był roześmiał; boć przecież Halka była jego siostrą, chociaż nie rodzoną, to prawda, ale zawsze ją za siostrę swoją uważał.

Razu pewnego po zachodzie słońca siedział sobie Stach znowu na ławie przed domem, a wypalona fajeczka leżała obok niego. I znowu nie miał ochoty wejść do pustej izby, chociaż wiatr jestenny ostro pogwizdywał i zżółkłemi liśćmi ze starego orzecha przed domem suto mu głowę posypywał.

— No, Stachu, porządną musisz mieć gorączkę, kiedy się na tem ziemnisku chłodzisz! — odezwał się głos, podobny nieco do beczenia kozy, a przed nim stanęła stara babulinka z pękiem chrustu na plecach.

Była to stara Małgorzata, która wyszła z boru, gdzie sobie nazbierała suchych gałęzi.

We wsi miano ją za czarownicę, dla tego, że leczyła chore bydło, umiała radzić ludziom na rozmaite choroby, a i kobietom raz po raz karty kładła i wróżyła im, gdy się koniecznie tego domagały.

Ale Małgorzata nie była czarownicą, tylko biedną kobietą, która ciężko pracować musiała, aby mieć tyle, iżby nie umarła z głodu.

Matka Stacha niejedno jej dawniej wyświadczyła dobrodziejstwo, dla tego też więc i ponieważ stara Małgorzata pomimo swego wieku — a miała już blisko ośmdziesiąt lat — bardzo dobrą miała pamięć, gdy dla Stacha zawsze dobrą była i nieraz mu pracowała w ogródku, gdy on po za domem

pracował.

Szczere "Bóg zapłać" Stacha zupełnie jej wystarczało za nagrodę, ale i z drugiej strony i Stach nie był skąpcem i niejednego półzłotka wolał jej wcisnąć do ręki, jak przepić w gościńcu.

— Za gorąco, co prawda, mi nie jest, Małgorzato, — odpowiedział Stach i potrząsł głową, — ale okrutnie mi tęskno na sercu, a gdy wchodzę do chałupy, to taka pusta, jak grób Pański po rezurekcyi!

— Wierzę ci, Stachu. wierzę, że tęsknisz za dobremi rodzicami: takie osamotnienie w życiu okrutnie ściska serce. Aleś ty przecież jeszcze młody i dopiero żyć zaczynasz. Więc nie powinieneś opuszczać głowy; łatwo ci będzie dostać szykowną kobietkę, później może jeszcze jakie maleństwo, a w chacie twojej będzie się tobie znowu tak podobało jak dawniej.

Stach spojrzał na nią uważnie; pomyślał przez chwilkę i rzekł:

— Jabym was chciał o coś prosić, Małgorzato!

— No, i cóż takiego? — zapytała stara, — czy ci może mam wybrać kartofle z twego małego ogrodu, albo drzewa przynieść z boru?

— Nie, — odpowiedział Stach i zarumieniony spuścił oczy, — jabym chciał, a byście mi z kart wróżyli!

Małgorzata spojrzała na niego zadziwiona, pokiwała głową, która jej się zawsze trzęsła i mruknęła:

— I nie wstydzisz się ty? Ty chłopie?

— Ach, co tam! — zawołał Stach hardo. — Jeżeli baby w to wierzą, to mnie też nie zaszkodzi!

— I czego byś się chciał z kart dowiedzieć? — zapytała znowu stara.

— No, jabym chciał wiedzieć, czy i z którą się mam ożenić, skoroć mnie już jedna przeznaczona! — odpowiedział Stach.

— Jaki też z ciebie dudek, Stachu! — zaśmiała się stara na całe gardło, — toćże zapytaj się swojego serca, a to ci najlepszą da odpowiedź.

— Właśnie że nie, moja Małgorzato! — odrzekł Stach, — bo widzicie, moje serce tak jest wielkie, żeby się w niem wszystkie dziewuchy z całej wsi pomieściły. Aby się one zaś pomiędzy sobą nie poczubiły, wolałbym jedną tylko z nich sobie wybrać i to tę, którąby dla mnie była najlepszą. Już to, Małgorzato, zróbcie dla mnie i połóżcie mi karty; bardzo was o to proszę!

Jak tylko Stach zaczął się przymilać i prosić i tak pięknie spoglądać, to jużby żadna stara baba nie mogła być tak twardą, aby mu odmowną dała odpowiedź, a tem mniej stara Małgorzata, która Stacha kochała jak własnego syna.

— No, jeżelić już koniecznie chcesz, — rzekła, — to już to zrobię. W niedzielę po nieszporach około piątej przyjdę do ciebie i przyniosę karty ze sobą. A teraz zostań z Bogiem! Połóż się spać, a jak się prześpisz, to się i może inaczej namyślisz!

— Ej, gdzie tam! — mruknął Stach i poszedł spać, a we śnie widział i Marysię i Kasię i Zosię i jak się tam wszystkie nazywały, które miały szczęście jemu się podobać. W końcu śniło mu się także o Halce. o ojcu i matce, i o—starej Małgorzacie, która mu porządnie zmyła głowę.

I rzeczywiście w niedzielę po nieszporach siedzieli oboje przy stole; na wielkiem krześle stara Małgorzata, przed nią stół z kartami, a Stach obok niej na ławie przy piecu.

Czerwienny król, który dziś miał przedstawiać Stacha, był czarny jak kominiarz, a czerwienny panfil zupełnie miał twarz wytartą. Inne figury nie mniej były osmolone, a żołędny panfil, który zawsze starą babę przedstawia, wyglądał istotnie jak ciota.

— Stachu! — rzekła Małgorzata, stukając kościstemi palcami po rozłożonych kartach, począwszy od siódemki, aż natrafiła na czerwiennego króla, — ty rozmaite jeszcze przejdziesz koleje, zanim prawdziwą dostaniesz. Bo widzisz, oto czerwienny panfil tu jest zupełnie na końcu — siedem—osiem — dziewięć — dziesięć — patrz! ta kobieta z rudemi włosami — ale dzwonkowy tuż, — ta sobie ciebie upatrzyła! Ale słuchaj mojej rady — miej się na baczności, dla niej dostaniesz kije! — Siedem — osiem dziewięć — dziesięć — o jej! Wino! — ta sobie z ciebie drwi! — Dziewięć — dziesięć — ta stara chciałaby cię dla swojej córki ale — zgadnij! W końcu jednak dostanie

ci się czerwienny panfil, a obok niego dzwonkowa dziesiątka — to pieniądze — a-ba! Widzisz? Tu masz zapewnienie! List! — a obok tego — prowadzi wązka ścieżka — siedem — osiem — do domu — i znowu dzwonkowa dziewiątka — tak, tak—na pewno będą pieniądze! No — już nic lepszego sobie życzyć nie potrzebujesz! Ale na to szczęście jeszcze cokolwiek zaczekasz — a i rogów jeszcze cokolwiek sobie przytrzesz — nie szkodzi!

Małgorzata raz jeszcze potasowała karty, kazała Stachowi zebrać i znowu na pewno wróżyła mu kije, ale w końcu czerwiennego panfila z pieniędzmi.

— No! — zaśmiał się Stach, — kijów się nie boję. Niech jeno kto przyjdzie i pobróbuje pięści Stacha! Ale — że tylko ta jedna czerwienna — jak się tam nazywa — ma być dla mnie — to mnie gniewa!

— A pfe! Wstydź się Stachu! — zawołała stara, chowając swe usmolone karty, — czy może zaraz całą kopę chciałbyś pojąć jak turek?

Stara odeszła. W drodze niedaleko młyna spotkała Halkę.

— Skąd Pan Bóg prowadzi, matko Małgorzato? — zapytała Halka.

— Byłam u Stacha — dałam mu porządnego kapturą! — odpowiedziała stara, wstydząc się za głupotę chłopaka.

— Biedny Stachu! — westchnęła Halka, — on teraz nie ma nikogo, któryby mu gospodarstwa dopatrzył, jak tylko was, Małgorzato! Ach gdybym ja matką jego być mogła, — ale — jestem na to za młodą!

— A czemużbyś żoną jego być nie chciała i zarazem mu serca nie naprawić, które — co prawda — dosyć ma głupie? — zauważyła stara patrząc dziewczynie bystro w oczy.

Ona się zarumieniła i wyjąknęła:

— Ale Małgorzato! Na Boga, co mówicie! Toć to grzech — przecież Stach jest moim bratem!

— Takim jest twoim bratem, jak ja jestem twoim dziadem, ty głupi dzieciaku! — zaśmiała się stara ciesząc się z rumieńca, którego zobaczyła na twarzy Halki. — Ale możebyś Stacha ostatecznie wcale nie chciała za męża — co?

Teraz Halka dostała czkawki, która tak ją męczyła, że słówka wymówić nie mogła. Wreszcie ustało, a ona książkę do nabożeństwa przycisnęła do serca, powiedziała:

— Idźcie z Bogiem, Małgorzato! — i uciekła do młyna.

— Aha, już wiemy! — mruknęła stara, — dzieciakami jesteście i basta!

Potem poszła do swej ciupki w szpitalu.

Stach był zupełnie ogłupiałym od czasu, jak mu Małgorzata z kart wróżyła. Teraz zadzierał nosa, puszył się jak indyk, a na dziewuchy, którym dawniej szczerze spoglądał w oczy, a nawet się do nich nieraz uśmiechał, dziś wcale nie patrzał.

I cóż to było? Oto czerwienny panfil i ta dzwonkowa dziesiątka — pieniądze — wlazły mu w głowę i na te chciał czekać.

A im dumniejszy był Stach, tem więcej na niego łowiły dziewuchy; jeżeli dawniej tylko do niego się uśmiechały, to teraz zupełnie w niego wlepiały oczy.

Tam gdzie Stach obecnie pracował, mieli córkę jedynaczkę, wcale nie szpetną dziewuchę, jeno że była cokolwiek krzywa, tak nieprzymierzając, jak znak zapytania.

Celka nie była też zanadto młoda; miała ona szesnaście lat, ale na każdej stronie, a matka jej, która aż do jej trzydziestego roku mocno w to wierzyła, że dla Celki musi się znaleźć kawaler, zaczęła teraz na seryo powątpiewać i ciarki ją przechodziły na wspomnienie, że dziewucha zostanie starą panną.

Byli — co prawda — rozmaici chłopcy, którzyby chętnie byli Celkę wzięli, nie dla jej koszlawej kości pacierzowej, ale dla jej greberów, bo gospodarstwo było piękne, a matuś miała w skrzynce kilka pończoch napełnionych talarami. Lecz Celka nie była głupia i matka także.

Naraz Stach wpadł jej w oko, tej krzywej córce gospodarskiej, a że ona w domu komenderowała ojcem i matką, więc też nikt się jej nie sprzeciwiał, gdy powiedziała: “Pójdę za Stacha i za nikogo innego!”

— Co? garbatą żonę? Chybabym w pięcie miał rozum! — wyrwało się z ust Stacha, gdy mu gospodyni w cztery oczy dała tak niby do zrozumienia, że mógłby tam

być panem, gdzie chwilowo służył za parobka. — Bywajcie zdrowi, gospodarzu! — powiedział zaraz potem, wypowiedział służbę i wyniósł się z domu.

— Sprawdziło się jedno, sprawdzi się drugie, — pomyślał sobie Stach, — a o robotę mi nie trudno!

Nazajutrz pracował już u innego gospodarza, a ten mu jeszcze lepiej płacił, jak pierwszy.

Tak nadszedł kiermasz, w niedzielę przed św. Urszulą.

Wieczorem były tany w gościńcu, a dziewuchy jeno się tak darły o Stacha, bo z kart starej Małgorzaty, których się wszystkie radziły, wiedziały, że Stach kiedyś pięknego doczeka się grosza. A dziewuchy sobie to tak tłómaczyły, że na Stacha spadnie jakie niespodziewane dziedzictwo, albo też że wygra w loteryą. No, a szykowny też był ze Stacha chłopak, to też wcale nie dziw, że dziewuchy całem sercem pragnęły go zdobyć.

A więc, jak się powiedziało, w kiermasz były tany i tak dobijano, że jeno się ziemia trzęsła, a o Stacha darły się najładniejsze dziewuchy ze wsi i z okolicy.

Biedna Halka siedziała sobie w kąciku, jak żyd na popiele, a gdy w oczętach jej raz poraz coś zaświeciło, bo taki ból czuła, jakby ją kto szarpał za serce. Bo Stach wcale na nią nie patrzał ani razu nawet się nie obejrzał, ani też razu z nią nie potańczył, jeno tak patrzał naokoło siebie, jak jaki basza, który ma same niewolnice przed sobą. Biedne to stworzenie, to Halka! A przedwczoraj jeszcze stara Małgorzata nieproszona położyła jej karty i powiedziała jej, że Stach dba o nią tyle, co pies o piątą nogę i że mu się ma namykać z drogi, aby mu do szczęścia jego nie przeszkadzała, i że dla nich obojga będzie najlepiej, jeżeli dla niego będzie obojętną i zimną, bo w tylko ten sposób dojdzie do celu i dostanie bogatą żonę — i kije także, ale o tych kijach nic Halce nie wspominała.

— No i proszę: — Małgorzata powiedziała to jasno i wyraźnie, a że Halka wyżej ceniła szczęście Stacha, jak swoje własne, więc też szczerze chciała słuchać rady starej Małgorzaty i Stacha unikać.

Nareszcie jednakże i do niej Stach przyszedł i chciał, aby z nim tańczyła.

— Noga mię boli, Stachu, nie mogę! — odpowiedziała mu krótko, ale wedle serca coś ją bardzo zabolało.

Zaraz potem przyszedł inny parobczak i — stosując się do rady starej Małgorzaty — poszła z nim w tany.

Jak to Stach zobaczył, było mu tak, jak gdyby mu żaba usiadła na wątrobie.

— Co? — mówił do siebie. — Ze mną tańczyć nie chciała dla tego, że ją boli noga, a teraz wywija w tańcu jak wartałka? I to mnie? mnie? temu, o którego drze się cały świat, mnie dała odkosza, który jej jestem najbliższym?

Ano, tego mu było za wiele! Więc rozjadowiony jak bestya, wpada pomiędzy tańczących, wyrywa czerwonowłosą dziewuchę tancerzowi jej z ręki i pędzi z nią w wirowym tańcu jak opętany.

Ale też nawarzył sobie piwa! Z Frąckiem nie były przelewki; ten był rozjędorzony, a był to chłop mocny jak niedźwiedź. Jak mu Stach wyrwał z ręki dziewuchę, zbladł jak ściana, zaciął zęby, że aż zatrzeszczały, gdy patrzał na nią, jak wywijała ze Stachem i mruknął pod nosem:

— No poczekaj! Zapłacę ja tobie!

— Frącek, nie daj się, — mówili mu drudzy, którzy już dawno mieli chrapkę na Stacha, dla tego że takie szczęście miał do dziewuch.

A czerwona Antka śmiała się z zuchwalstwa Stacha, zamiast mu dać kaptura za jego desperacyą i jemu powiedzieć:

— Nie Stachu, kto pierwszy, to do wierszy, a do tego tańca, to już Frącek ma prawo.

Ale jej dumnie to schlebiało, że się Stach darł o nią, i że dla niej Stach będzie się musiał bić; lecz kto kije oberwie, o to nie pytała.

Jednej tylko serce drżało z obawy, a tą była Halka. Z trwogą patrzała na rozjędorzone twarze Frącka i drugich chłopaków i nie uszło jej uwagi, że ściskali pięście i między sobą szeptali.

(Dokończenie nastąpi.)

RZEŻ W KROŻACH.

OSOBY:

Gubernator KLINGENBERG.
Naczelnik WICHMANN.
ASSESOR.
URIADNIK.
Lekarz WASILEKO.
PRZEŁOŻONA KLASZTORU.
KSIĄDZ.

MACIEJ, BARTŁOMIEJ, JAN, ADAM, TOMASZ, GOŁUMBOWSKI, STANISŁAW, — Wieśniacy.

AGATA, ANNA, BARBARA, MARYANNA, TEKLA, AGNIESZKA, KATARZYNA, — Wieśniaczki.

MITRAFANOW, BORYS, ZOFIK, WŁAS, TERENTI, DULA, OFICER, ŻYD. — Kozacy.

Lud wiejski, Kozacy i Uriadnicy.

AKT I.

SCENA I.

Maciej, Jan i Bartłomiej.

(Siedzą za stołem i rozmawiają).

Maciej *(do Jana).*

Powiedz mi, Jaśku, czemu teraz tak ciężko jest żyć na świecie? Mnie się zdaje, że teraz powinno być bardzo dobrze, ponieważ car dał nam wolność, nie mamy panów, którzy znęcali się nad nami, którzy czynili z nami, co tylko im się podobało. Mamy teraz z łaski Boga i cara swoje gminy, swoich sędziów, swoje gminne szkoły, gdzie nasze dziatki mogą uczyć się czytać i pisać; mamy swoich gminnych lekarzy, którzy darmo leczą. Słowem, powinno być dobrze, a jednak bardzo jest źle i okropnie ciężko jest żyć.

Jan.

Czyś ty Maćku ogłupiał, czy co? Ja, wyobrażałem sobie, że ty masz trochę więcej oleju w głowie. Czy ty czasem za wiele nie wypiłeś carskiej gorzałki?

Maciej.

Ależ ja nie jestem pijany; ja mówię tak, jak rozumiem.

Bartłomiej.

(Zażywa tabakę, potem wyciera nos dłonią, następnie rękawem i połą sukmany, poczem opiera ręce na stole i słucha.)

Jan.

Jeżeliś ty Maćku nie pijany, to jesteś, jak już powiedziałem, chyba głupi! Czy nie wiesz, że, jeżeli car dał wolność, to uczynił tylko sobie dobrze, a nie nam? A co się tyczy włości, szkół, rozmaitych urzędników, lekarzy i tym podobnych łask carskich, to car także uczynił to tylko dla swojej korzyści, dla szerzenia carskiej wiary, a nie dla naszego dobra.

Maciej.

To nie może być, co ty mówisz! Wszakże ludzie mówią i gazety piszą, że car ma staranie o nasze dobro, że car wyrwał nas z rąk panów. A ty gadasz takie niedorzeczności i cara obwiniasz.

Jan.

Jakiś ty nierozsądny, Maćku! Jeżeli mówią i piszą, to tylko tacy ciemni jak Maciek, albo tacy, którym car każe tak pisać i mówić. Dziesiątki lat prędzej niżeli car, wielu książąt i królów dali wolność ludowi. Daleko prędzej niżeli car. — Polacy połączeni z Litwinami, pragnęli nadać zupełną wolność narodowi; w tym celu na-

pisali i ogłosili Konstytucyą 3 go Maja 1791 roku, która nadawała wszystkim wolność i równość.

Ale car moskiewski, który już był w zmowie z Austryą i Prusami, zabijając, katując, wysyłając na Sybir całemi tysiącami naszych braci, nie pozwolił wypełnić przepisów konstytucyjnych... Ale ty chcesz wiedzieć, dla czego car w późniejszym czasie uwolnił nas od panów. Car widział, że mu jest trudno dać radę z dumnymi panami. Potrzeba było carowi wojska, więc musiał wchodzić w umowy z panami, którzy nigdy nie dali do wojska dobrego człowieka, tylko albo pijaka, albo złodzieja, lub jakiego innego próżniaka. Gdy zaś car odebrał ludzi od panów, to teraz bierze do wojska tylu ludzi, ilu tylko mu potrzeba, i to najlepszych chłopów. Dawniej gdy potrzeba było carowi pieniędzy, to znów musiał umawiać się z panami, bo tylko panowie płacili i to bardzo mało. A teraz płacą wszyscy i to tyle, ile tylko car potrzebuje. Car odebrał nas z rąk panów a wziął w swoje ręce i czyni z nami co mu się podoba. Dał nam moskiewskich pisarzy, nauczycieli i tysiące innych. A my musimy wszystkim płacić, musimy wszystkich utrzymywać, musimy ich słuchać i szanować. A co my z tego mamy?

Maciej.

Albo ja wiem. Mnie się zdaje, że oni są na to, ażeby gdy nas kto ukrzywdzi, było do kogo udać się na skargę; bo dawniej, to byli panowie, a teraz panów nie ma, więc do kogóż iść na skargę?

Jan.

O, jakiś ty głupi Maćku! Car ich dał na to, ażeby nas trzymali w karbach nie przymierzając jak powiązanych baranów; ażeby rozszerzali między nami carską wiarę, czy jak tam mówią prawosławną, ażeby zmusić nas do mówienia po moskiewsku, ażeby nas pilnowali i o każdym naszym uczynku donosili carowi.

Bartłomiej.

Mów ty sobie tak, jak ci się podoba, ale ja tych tam panów i wszystkich szlachciców okropnie znienawidzę?

Jan.

Któż ci kazał ich tak okropnie nienawidzić?

Bartłomiej.

Albo to ja głupi, czy to ja nie czytałem w gazecie, czy to ja nie słyszałem od naszego nauczyciela pana Mordwinowa, że panowie i wszystka szlachta to byli okropne łajdaki?

Jan.

To jest prawda, że wielu z nich było łajdaków, ale trzeba wiedzieć, że Mokale w swoich książkach i gazetach, w swoim języku obwiniają wszystkich: — papieży, biskupów, księży, panów, szlachtę i kmiotków: ale siebie to nigdy.

Przecież Moskale podstępem rozdarli naszą ojczyznę i przez tyle czasów wysilają się na zgubę naszą, a jednak siebie nie obwiniają, tylko nas. Wysilają się, ażeby robić niezgodę między panem a kmiotkiem, który był w poddaństwie u niego; między Polakiem a Litwinem; między duchowieństwem a ludem świeckim. Wrogowie nasi wiedzą dobrze, że gdy będzie między nami niezgoda, to im wówczas najłatwiej jest gnębić nas i czynić z nami co im się podoba.

Maciej.

Może to i prawda, co ty mówisz; ale czemu mówisz, że lepiejby było, gdyby gminnych szkół, gminnych nauczycieli, gminnych lekarzy i innych Moskali wcale nie było?

Jan.

Bo mu tu na Litwie mamy samych tylko Moskali, bo w obecnych szkołach na Litwie dziecko nie może nauczyć się tego, co mu jest pożyteczne i potrzebne, ale tam może się nauczyć wysławiać cara, przeklinać po moskiewsku, czytać kłamliwe książki, a osobliwie historyczne; a w tych książkach wszystko nie tak jest napisane jak rzeczywiście było, ale tak, jak carowi się podoba. A trzeba ci wiedzieć, że i szkoły są budowane za nasze pieniądze i moskiewscy nauczyciele do tych szkół nasyłani mają utrzymanie z naszych pieniędzy. A cóż my z nich mamy za korzyść. Wszyscy ci Moskale są misyonarzami cara, wszyscy mają nakaz szerzyć między nami carską wiarę, moskiewską mowę, kłamliwie tłómaczyć wypadki historyczne i o każdym naszym czynie donosić carowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)